

BOHDAN KRÓLIKOWSKI



Gawędy o zmierzchu

AVALON

Gawędy o zmierzchu

Bohdan Królikowski

*Gawędy
o zmierzchu*

ISBN 978-83-7730-971-1

Z a m ó w i e n i a p r z y j m u j e

A

Wydawnictwo AVALON T. Janowski Sp. j.
ul. Fiołkowa 4/13 • 31-457 Kraków
tel. 48 606 750 749
zamowienia@wydawnictwoAVALON.pl

www.wydawnictwoAVALON.pl

Moim Najbliższym

ZAPROSZENIE DO MATECZNIKA

„Twierdzą nam będzie każdy próg” – głoszą słowa śpiewanej dziś coraz rzadziej „Roty” Marii Konopnickiej. Zdawałoby się, że w naszej dobie, kiedy myśli się o mieszkaniu jako o „nieruchomości, która jest pewną lokatą kapitału”, te słowa muszą brzmieć sztucznie, patetycznie, deklaratywnie. Nie, pomimo rynkowej rzeczywistości, w jaką wrzucił nas bieg dziejów, te słowa nadal brzmią równie młodo i prawdziwie jak hasło „za naszą wolność i waszą” – a nawet w jakimś stopniu dopełniają się wzajemnie.

Próg, który symbolicznie dzieli przestrzeń prywatną od publicznej, i wolność, która ma gwarantować ochronę prywatności wobec zakusów rządzącej sprawami publicznymi władzy, są razem. Razem po stronie człowieka. Wolność za naszym progiem pozostaje w bliskim związku z cudzą wolnością – daleko, za innymi progami.

Te refleksje nasunęły mi się, gdym skończył czytać „Gawędy o zmierzchu” Bohdana Królikowskiego. Prywatność i kameralność tego zbioru osobistych tekstów prowadzi od biurka pisarza dalej i dalej. Ku horyzontom europejskich i dalszych podróży. Od współczesności w głąb ojczyznej historii, ku czasom minionym. Od spraw bardzo polskich do uniwersaliów.

Prosta literacka formuła gawęd, wysnutych ze spojrzenia na zgromadzone we własnym mieszkaniu pamiątki, zaowocowała różnorodnością tematyczną i bogactwem nastrojów – od szeptu zwie-

rzenia po erudycyjny popis, towarzyski żart, nostalgiczne wspomnienie. Wzmocnienie tego, co osobiste, pulsujące uczuciem, to nowa nuta w pisarstwie autora, który niedawno ukończył siedemdziesiąt pięć lat. Przed tą rocznicą pisałem o nim jako o „budowniczym pamięci, doradcy sumień”.

Bohdan Królikowski dał się do tej pory poznać jako pisarz wierny, pracowity, konsekwentny. Osią jego twórczości były losy żołnierskie, ułańskie, powstańcze. Ta tematyka powraca i w „Gawędach o zmierzchu”. Pisarstwo Królikowskiego jest w literaturze naszej zjawiskiem osobnym – nie tylko przez zakorzenienie w staropolszczyźnie Paska i Kitowicza, przez odważne podjęcie tradycji Sienkiewicza i Conrada.

Takie książki jak staropolska powieść „Wiatr na szablach”, jak ułańska „Pamięć wrzosu”, esej „Ułańskie lato” czy niedawny zbiór opowiadań „Akt oskarżenia” to pisanie historii sercem – i na sercu czytelników. Ile to w dobie współczesnej warte, mówić nie trzeba.

Pisarstwo Królikowskiego zmienia się. Bywał w nim obecny sienkiewiczowski rozmach w kreśleniu postaci, w opisach batalistycznych. Dziś – szczególnie w znakomitym „Akte oskarżenia” – wyraźniej niż dawniej, ta wyciszona, bardzo osobista literatura stawia pytania najważniejsze – o sens historii, moralność polityki, los ludzi szlachetnych.

Te pytania są obecne i w „Gawędach o zmierzchu”. Nie tracą tu na ostrości, a zarazem budują część nieco gorzkiej historii przemijania przedmiotów, część uspokojonej filozofii, optymistycznie broniącej wartości, którym przemijanie nie grozi. Rdza pożre stare klingi na pobożewiskach, ale nie przemienie szabla jako słowo-symbol w poezji i piosence, szabla przypominająca o Bogu, Honorze, Ojczyźnie.

Pisarz i bibliofil, historyk i znawca munduru, broni, odznak, orderów, autor rozpraw o wizerunku Orła Białego, jeździec i koniarz – a w sumie polski inteligent w najprostszym rozumieniu

tego słowa. Królikowski swą wiedzę ma za zobowiązanie, wykształcenie wzywa go do służby. A w służbie rzeczą wielkiej wagi jest gospodarowanie polskim uniwersum symbolicznym, praca nad odczytywaniem i przetwarzaniem narodowych mitów, nad ich krytyką i obroną. Trzeba koniecznie dodać – rzetelne rzemiosło, wzorowa, nieskazitelna polszczyzna – to też część służby.

Pisząc o swoim domu, o starych fotografiach, krzyżykach, akwarelach na ścianach, o kilku militariach, Królikowski proponuje czytelnikowi sposób, w jaki on ma spojrzeć na dom swój własny, na zbiory swoich rodzinnych pamiątek. Autor „Gawęd” zaprasza do gry z pamięcią, uczy jak z każdego przedmiotu wysnuć narrację, jak przypisać przedmiotom ich symboliczną wartość, jak zmusić wizytówkę, zdjęcie, stary hełm, by zaśpiewały piosnkę żołnierską, by przypominały sławę ułańskich pułków. Każdy tekst z tego zbioru może być tematem rozmowy o wielorakich związkach kultury materialnej z duchową. O butach, o spodniach do konnej jazdy można pisać metafizycznie.

Oczywiście, w „Gawędach” erudycja autora często dochodzi do głosu. Co książkę Józef Poniatowski miał na głowie w dniu śmierci? Nie, nie rogatą czapkę ułańską, którą nosił nawet do fraka. Nie, tego dnia był w oficerskim kapeluszu – wbrew tysiącom ilustracji, sztychów, malowideł.

Tam, gdzie Królikowski wylicza stopnie wojskowe, odznaczenia, bitwy, nazwiska – nie ma prostego opisu erudycyjnego. Te słowa, te nazwy brzmią litanijnie, stają się magicznymi mantrami. Wyliczenia tych, co zginęli w walce, tych, których stracono czy zamęczono, brzmią jak apele poległych.

Urzekł mnie tytuł „Gawędy o zmierzchu”. Gawęda to podjęcie pewnej starej, szlachetnej formuły, bliskiej „Pamiętkom Soplicy” Rzewuskiego, „Śpiewom historycznym” Niemcewicza, strofom Syrokomli czy Pola – a jednocześnie odnowienie zagubionego ogniwa obyczaju domowego czy skautowskiej tradycji.

Przypomnienie zmierzchowej pory trafiło mnie prosto w serce, skojarzyło się z pełną ciepła gawędą z tej książki, o Kazimierzu Dolnym – „Widok z Plebanki”. Ja też – jak Bohdan Królikowski – pamiętam kazimierskich malarzy, Antoniego Michalaka i Zenona Kononowicza. Byli w czasie okupacji pacjentami mojej Matki. Dawali jej w dowód wdzięczności swoje płótna.

Z lat czterdziestych przypominam sobie pusty ryneček w Kazimierzu. Letni zmierzch. Przysiedliśmy z Mamą – ja i moi bracia – na murku poniżej Fary, naprzeciw knajpy Berensa. „Zwróćcie uwagę, zapamiętajcie – powiedziała Mama – jaka to dziwna pora, zmierzch. Ludzie stają się mniej głośni, ale bardziej prawdziwi”.

Za ową porę wyciszonej gawędy cenię sobie tę książkę.

Piotr Wojciechowski

MÓJ POKÓJ

Postanowiłem sporządzić „dla domowej tylko wiadomości” – wedle słów kasztelana brzeskiego Marcina Matuszewicza – opis pokoju, w którym pracuję, coś na kształt inwentarza albo też – jak kiedyś pisało – „regestru mobiliów i rzeczy rozmaitych”. Jednakże w miarę wyobrażania sobie tego tekstu, układania go w myśli, zamysł odmieniał się, rozszerzał. Wychodził poza ten pokoik.

Przecież każdy z bliskich mi i drogich przedmiotów – na ścianach, na półkach czy w szufladach – ma swoją historię, *habet sua fata*^{*}, kojarzy się z ofiarodawcą, z poprzednim właścicielem, z okolicznościami nabycia czy znalezienia. Tak więc „rejestr przedmiotów” zaczął stawać się, w miarę myślenia o nim, zbiorem luźnych wspomnień o przedmiotach, a przez skojarzenia – o ludziach. Niech to zatem będą takie sobie gawędy przed Odejściem.

Mój pokój jest nieduży, około dziewięciu metrów kwadratowych. Nasze mieszkanie – z wczesnych lat siedemdziesiątych zeszłego wieku – budowano dla pięcioosobowej rodziny, a ma raptem 56 metrów kwadratowych. Peerelowski luksus z czasów towarzysza Gierka! Istotnie, przez kilka miesięcy, po zamążpójściu mojej córki, mieszkało tu pięć osób. Potem zostały trzy, dwie, wreszcie ja sam. Nie na długo. Obecnie mieszkamy we dwoje.

Były tu cztery klitki mieszkalne. Teraz, gdy wyburzyliśmy jedną ścianę, pozostał spory living-room – jak się to określa w angliczowanej polszczyźnie – czy też salonik – z dawnej, sfrancuziałej mo-

* Ma swe losy (łac.)

wy, alkowa sypialna i ten mój gabinecik. Właściwie wszystko to można by nazwać garsonierą. Znów francuszczyzna, ale jak to wyrazić po polsku? Kawalerka? Wieloznaczne i też niezbyt polskie. Gdzież tu upchać pięć osób?

Mój pokój, miejsce do pracy. Regały z książkami, biurko z komputerem i lampą, fotel, para starych krzeseł, stolik do kart z mieszkania dziadków Żony. W oknie, za firanką, paproć. Pod stopami dywan, kupiony przed stanem wojennym, w „Pewexie” (były kiedyś takie sklepy...), za ogromną na owe czasy sumę stu dolarów, oszczędzonych z paryskiego stypendium. Piękny to dywan. Kiedy jednak wspomnę, co widziałem zeszłej jesieni (piszę w styczniu roku 2007) w Jerozolimie, jego barwy bledną, wzory nikną. Jakież to tam kobierce! Zachwyciłby się nimi antykwariusz z Kresów, Lazar Gitman, uwieczniony przez Ksawerego Pruszyńskiego w „Karabeli z Meschedu”. Cuda, od których można dostać oczopląsu. Ale nie po dywan jechaliśmy do Ziemi Świętej.

Pod ścianami gabinetu pięć regałów. Nie będę tu wpisywał inwentarza księgozbioru. Mamy pewnie ze dwa tysiące książek – bo i w sypialence ich nie brakuje, są nawet w kuchni – może trochę mniej. Niby sporo, choć chciałoby się mieć więcej. Tyle że miejsca już brakuje. Pół życia pracowałem w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL. Miałem tam dostęp do wszystkiego, co było mi potrzebne. Korzystałem obficie. Rzadko zatem kupowałem książki, mogąc je w każdej chwili mieć bez ograniczeń. Zresztą nie miałem w młodości nadmiaru gotówki, a przez długi czas nawet przyzwoitego mieszkania.

Teraz – od kilkunastu lat na emeryturze – chciałbym mieć pod ręką warsztat pracy. Ale jest zbyt późno, by go zgromadzić. Mam jednak to i owo z kręgów moich zainteresowań: trochę rzeczy staropolskich, więcej z historii kawalerii, zwłaszcza wydawnictw londyńskich, z „broni i barwy”, z historii sztuki. Po moim drugim małżeństwie księgozbiór powiększył się o żonine zasoby, głównie z literatu-

ry polskiej, wzbogacając mój studencki zbiorek, i z klasyki europejskiej, sporo też książek religijnych, informatorów, słowników. Jest co czytać, tyle że oczy już nie te. Myślę, że ciekawszy od inwentarza księgozbioru będzie z pewnością ów „regestr rzeczy rozmaitych”.

KRZYŻYK PODNIESIONY Z ZIEMI

Wisi nad moim biurkiem, na honorowym miejscu. Nie rzuca się w oczy. Małeńki, ciemny, dyskretny. Właściwie to resztką starego krzyżyka, bowiem w mosiężnym jego korpusie czy też trzonie pozostały wnęki po wykładzinie z czernionego drewna, do której kiedyś była przytwierdzona Pasyjka z białego zapewne metalu, Postać Ukrzyżowanego (fot. 1).

Znaleziono go gdzieś na polu, bodajże wyorano. Próbuję sobie wyobrazić okoliczności, w jakich trafił do ziemi. Może to było w Powstaniu Styczniowym? Bo w tamtych czasach noszono takie właśnie krzyżyki, na taśmach czy rzemykach zawieszonych na szyi.

Puszczam wodze fantazji. Grottgerowska scena: młodzieniec w konfederatce z białą-czerwoną kokardą klęka przed matką, może przed ukochaną. Ona wiesza mu na szyi ów krzyżyk, jeszcze kompletny, błyszczący. A potem? Cóż, „poszli nasi w bój bez broni”. W którejś bitwie powstaniec pada ranny czy poległy, przy miedzy, w jakieś zarośla. Taśma pęka. Krzyżyk osuwa się w trawę...

A do Powstania Styczniowego czuję szczególny sentyment. Nie miało żadnych szans. W przeciwieństwie do Listopadowego, które spełniało wszelkie warunki potrzebne do pomyślnego prowadzenia wojny. Gdyby więc wśród generalicji była determinacja, woła walki, pragnienie wolności – pokonalibyśmy Moskali w roku 1831. A w roku 1863 nie było niczego. Dosłownie niczego. Bo nawet ge-



1. Krzyżyk powstańczy i ryngraf konfederacki

neralicja wymarła. Ale było to, czego w tamtym powstaniu zabrakło: upór, wola walki, patriotyzm.

To wszystko spowodowało, że walki trwały w Styczniowym najdłużej ze wszystkich naszych zrywów niepodległościowych, sprawiły też najwięcej kłopotów wrogom. Ktoś pewnie dorzuci, że Powstanie miało bolesne skutki dla nas, Polaków, jako że cena cierpień i krwi była ogromna. Myślę jednak, że gdyby nie ono, to być może w roku czternastym i w latach późniejszych, nikt by już nie pomyślał, że trzeba „formować legion, wojsko” i przypinać do czapek dumne orły rwące się do lotu.

Mój sentyment do roku 1863 nie zaowocował osiągnięciami literackimi czy historycznymi. Kilka recenzji. Jakiś młodzieńczy szkic o Lelewelu Borelowskim. Dopiero na progu starości wprowadziłem rozdział o walkach powstańczych do jednej z moich powieści. A wreszcie, przed kilkoma laty, napisałem szkic powieściowy czy też dłuższe opowiadanie pt. „Rewolwery z Paryża”.

Prócz owego krzyżyka – chociaż nie wykluczone, że jego „powstańczość” istnieje tylko w mojej wyobraźni – mam jeden jeszcze drobiazg z tamtego czasu. To książeczka pt. „Regulamin piechoty. Obozowanie, służba forpocztowa i marsze”, wydana w Paryżu, w roku 1864. Małeńka, by można w kieszeń wrazić. Nie opasła, zaledwie 72 strony. Ale poprawna w tekturę. Ciekaw jestem, ile jej egzemplarzy trafiło istotnie w ręce powstańczych oficerów? Jeśli transport w ogóle dotarł do Polski...

Zresztą trzeba przyznać, że autor tej instrukcji nie miał pojęcia o organizacji oddziałów powstańczych. Kto tam miał czas i możliwość zaprzątania sobie głowy regulaminami? Jedyne tylko szczegół przypomina, że to instrukcja dla powstania, a nie dla regularnego wojska. Mowa tam bowiem o możliwości zastępowania kompanii „karabinierskich” kosynierskimi. I tyle. Reszta to marzenia. Równie nierealne jak projekty powstańczych mundurów, opracowane i pięknie namalowane przez Juliusza Kossaka. Zalecano bowiem

wówczas, co nie zawsze było przestrzegane, by strój powstańca nie różnił się od ubioru okolicznej ludności.

Dostałem tę książeczkę od zawsze mi życzliwej, zmarłej niedawno, pani redaktor Danuty Bieniaszkiewiczowej z lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia, żony akowca z łagierniczym stażem. Mile wspominam współpracę z nią. Jeszcze w roku 1981 przygotowała długą audycję – dla lubelskiej rozgłośni, ale emitowaną też z Warszawy – o moim pisarstwie. Nazwała mnie wtedy – co wspominam z dumą – „pisarzem bardzo polskim”. Dziękuję Pani Danuto!

Zagalopowałem się w gadulstwie. A więc ten krzyżyk nad biurkiem... Minęło od Powstania sto lat i trochę. Drewno spróchniało. Pasyjka odpadła. Krzyżyk zaśniedział, szerniał. Wreszcie ktoś go znalazł czy wyorał. Trafiła potem ta pamiątka sprzed wieku do porucznika Mazurka. A on pokazał ją mnie. Wziąłem do ręki. Pomyślałem. „Wie pan – mówię – niech lepiej ten krzyżyk zostanie u mnie...” Nie protestował. Wziąłem. Odczyściłem. Zawiesiłem. Było to dobre trzydzieści lat temu. Może i dawniej.

Ów porucznik był funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa, czyli ponurej pamięci SB, wcześniej UB – PUBP – Państwowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, w randze ministerstwa – posłusznej enklawy KGB. Młody człowiek. Niewysoki. Z twarzą jakby obrzękłą czy napuchłą, zwłaszcza pod oczyma, co podobno była znakiem choroby nerek. Zawsze ubrany starannie. Raczej sympatyczny. Ale trochę nieśmiały czy zawstydzony. Poznałem go nie wiedząc, kto i co.

Byłem wtedy, we wczesnych latach siedemdziesiątych zeszłego wieku, od niejakiego już czasu prezesem Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy. Pracowałem jako kustosz w Bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Pewnego dnia któraś z młodych pracownic mówi mi, że szkolny kolega jej męża, interesuje się starą bronią. Czy może przychodzić na nasze zebrania? Czemu nie, proszę bardzo...

I tak to się zaczęło. Po kilku zebraniach odwiedził mnie ów pan w moim bibliotecznym gabinecie. Był zażenowany, jakby w poczućiu winy. Wydukał wreszcie, że jest funkcjonariuszem tej tam służby, w stopniu porucznika. Zapytałem, czy zlecono mu nas inwigilować. Zaprzeczył. Twierdził, że był istotnie ktoś taki między nami, ale on tylko prywatnie, w związku z zainteresowaniami...

Po jakimś czasie został naszym członkiem. Płacił składki. W roku 1974 urządzaliśmy niedużą wystawę polskich szabel. Pożyczył na nią kilka eksponatów z własnych zbiorów. Ba! Nawet wygłosił na naszych zebraniach parę referatów czy raczej może pogadanek o szablach, z pokazami ciekawszych egzemplarzy ze swojej kolekcji.

Pamiętam też, jak kiedyś przyszedł do mnie, do Biblioteki, podniecony, uśmiechnięty. Okazało się, że zdobył polski pistolet VIS, w bardzo dobrym stanie, że stara się u swoich władz, by mogła to być jego broń służbowa.

Znałem już wtedy od kogoś historię porucznika Mazurka. Był synem wysoko postawionego partyjnego czynownika. Ojciec jego pracował „na placówce”, jak wtedy mówiono, czyli w dyplomacji. Partyjna arystokracja! Syn takiego towarzysza mógł wysoko zejść w peerelowskiej hierarchii. Ale on nie miał ochoty do nauki. Nie poszedł na studia, o co zabiegał tata konsul, mając ambitne plany co do przyszłości syna. Skończyło się zatem na ubeckiej szkółce i na owej niewysokiej funkcji. Nie był porucznik Mazurek w Służbie Bezpieczeństwa kimś ważnym, ani nawet zręcznym funkcjonariuszem. Ale pozycja ojca utrzymywała go w służbie.

Nie miałem z nim nigdy „urzędowych” kontaktów. Raz jednak spotkałem go na korytarzu, w siedzibie jego instytucji. Jak do tego doszło? Opowiem. Pierwej jednak chciałbym dokonać swoistej „autolustracji”. Od początków „ludowego państwa” byłem „reakcjonistą” – syn ułana z roku dwudziestego, oficera Policji z katyńskiej listy – nie uznawałem „władzy ludowej” za własną, za naszą.

Kiedy mówiono o trzeciej wojnie światowej, planowałem z moim koleżką (zapisał się po latach do PZPR, za trzysta zł miesięcznej podwyżki), że uciekniemy do lasu, do partyzantów. Potem chciałem wstąpić do tajnej organizacji. Bywał u nas w domu jeden taki jegośmość, głęboko w niej umaczany. Ale, gdy byłem już zdecydowany, on gdzieś znikł. Może uciekł na Zachód? Może go „zamknięto”? Dość na tym, że się już u nas nie pojawił.

Mimo tych pokus nie miałem predyspozycji do konspiracyjnej działalności. Nie było we mnie zadatków na bohatera. Bałem się bicia, tortur, więzienia. A to wszystko – i inne straszne rzeczy – kojarzyło się ze słowem „bezpieczeństwo”, ze skrótem „ube”. Mówiono, że nawet w gestapo nie było takich „sposobów” jak w tej niby to polskiej – chodzili w mundurach wojskowych, w czapkach z orłami – ubecji. W Zamościu, w moich latach licealnych, mieli siedzibę koło Kolegiaty, w gmachu, gdzie jeszcze niedawno rezydowało właśnie gestapo. Pamiętam, jak raz zobaczyłem przy tym gmachu oficera z nahajką w garści. Miłe wspomnienie młodości...

Mam i drugie. W roku 1950 potrąciłem niechcący na ratuszowych schodach cieszącego się w Zamościu ponurą sławą „bezpieczniaka”, porucznika Engla. Anioła jednak nie przypominał. Należał za to do narodu wybranego, jak bardzo wielu w tym resorcie, co jeszcze wyraźniej było widoczne u jego ojca, kroczącego dumnie po zamojskich ulicach.

Wściekł się wtedy porucznik Engel, na tych barokowych schodach, ale że byli świadkowie, nie dał mi „w mordę”. Zapisał nazwisko i rzucił krótko: „Jutro na ósmą do Urzędu Bezpieczeństwa!” Cóż począć? Nie było mowy, by nie skorzystać z „zaproszenia”. Przeżyłem kilkanaście godzin strachu przed tym spotkaniem. I poszedłem. Na drzwiach gabinetu widniał napis: „Obywatelu, nim wejdziesz, zapukaj!” Co za kultura!

Zapukałem. Najpierw wypytał mnie dokładnie: kto i co? Drżałem, by nie wygadać się, że Ojciec służył w Policji. Brnąłem w kłam-

stwa i niewiele brakowało, bym się w nie zaplątał, a wtedy... Ale on nie grzeszył inteligencją. Wciągnął mnie do rejestru. Zapowiedział, że będę pod stałą obserwacją. Na koniec wygłosił kazanie na temat... dobrego wychowania. Wypuścił. Uff! Mogło być gorzej!

Nic więc dziwnego, że kiedy któregoś wieczora, w lutym roku 1952, przyszła do naszego pokoju w domu studenckim grupa „funkcjonariuszy” po jednego z kolegów (dostał siedem lat więzienia, wyszedł po trzech), trząśłem się ze strachu. Było to widoczne. Zrewidowali więc na wszelki wypadek moją półkę z książkami.

Dowodził nimi jakiś „porucznik” w studenckiej czapce UMCS, której nie zdjął ani na chwilę, z gębą – *excusez le mot** – co się zowie, ze świńskimi oczkami. Widywałem go przez lata na przystanku autobusowym przy ulicy Lipowej. Potem gdzieś znikł. I oto nagle – w początkach lipca roku 2007 – podczas zakupów w jednym z lubelskich supermarketów, natknąłem się na niego. Posiwiął, trochę przytył, ale gęba i oczka wciąż te same. Chciałem go zagadnąć: „Co słyhać, towarzyszu poruczniku?” – dałem jednak spokój. Takiego lepiej nie ruszać.

Po studiach zostałem w „kulowskim getcie”, w Bibliotece. Jak było, tak było, ale przynajmniej nikt nie kusił wstąpieniem do „partii”. Nie musiałem kłaniać się towarzyszowi sekretarzowi „popu”, podstawowej organizacji partyjnej. Peerel znam z opowiadań. Przesada? No, może trochę. Wszyscyśmy przecież unurzali się w tym czerwonym bagnie. Jedni po szyję, inni po kolana, ale wszyscy. Tył, że nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę i nie odczuwają potrzeby zmycia brudu.

W roku 1962, w sierpniu, poproszono mnie do bibliotecznej szatni, do telefonu. Odezwał się męski głos: „Mówi Rabski ze Służby Bezpieczeństwa...” – zdrętwiałem, a on „zaprosił mnie na rozmowę”. Zapytałem, czy po tej rozmowie wyjdę. Roześmiał się. „Po-

* Przepraszam za słowo (franc.)

prosił” jeszcze, bym nikomu nie mówił „o naszym spotkaniu”. Poszedłem, choć jak dziś myślę, mogłem odmówić. Może przysłałby wezwanie, a może i nie. Byłem jednak niedoświadczony, a lepiej powiedzieć: głupi i naiwny. Bywa gorzej.

Na miejscu okazało się, że od dawna znam tego funkcjonariusza z widzenia. Mijaliśmy się czasem na jednej czy drugiej ulicy Lublina, w pobliżu Biblioteki. Zawsze bacznie mi się przyglądał. Był to wysoki, chudy mężczyzna o wyglądzie gruzlika, sporo ode mnie starszy. Śniada cera, czarne oczy. Ubrany zawsze elegancko, w jakieś brzozy i beże. W kapeluszu, w palcie. Z teczką. Nie był typem ubecka. Raczej urzędnika, może nawet adwokata. Cóż, pozory mylą.

Na początku zadał mi dwa pytania: „Czy pan nie powiedział nikomu o naszej dżentelmeńskiej umowie?” Nie mam szybkiego refleksu, a poza tym – co tu ukrywać – bałem się. Powinienem odpowiedzieć, że nie wiem, czy mam do czynienia z dżentelmenem, albo może lepiej, że ja nie jestem dżentelmenem. Ale tylko zaprzeczyłem: nie mówiłem nikomu.

A on wtedy: „Czemu pan sądził, że stąd nie wyjdzie?” Dobre pytanie, prawda? Trzeba było odpowiedzieć. Zresztą zgodnie z prawdą. Przed kilkoma miesiącami zgubiłem dowód osobisty, potem okazało się, że tylko zapomniałem w kieszeni starej kurtki. Zgłosiłem to w milicji. Dostałem tymczasowe zaświadczenie. Nie spieszyłem się z „wyrobieniem” nowego dokumentu. I rzeczywiście, byłem wówczas przekonany, że propozycja rozmowy w SB ma związek z tą moją zgubą.

Funkcjonariusz wysłuchał wyjaśnienia. Obejrzał zaświadczenie. Stwierdził, że przeterminowane. Zapytał, czy zdaję sobie sprawę, co by było, gdyby mój dowód dostał się w ręce „wrogów władzy ludowej”? Pokiwałem głową. Zaczął rozmowę na różne tematy. Chwalił się, że studiował prawo, że „pracował” tu jeszcze przed październikiem 1956 roku. Zapewniał, że wtedy wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Milczałem z miną niedowiarka.

Wreszcie wyszło szydło z worka. Prosił o współpracę, o informację, w interesie... chłopów i robotników. Naprawdę, tak powiedział! Wykręcałem się, jak umiałem czyli nie najbardziej zręcznie. Naciskał. Zapytałem: „Czy pan mi grozi?” Odparł: „Żeby grozić, trzeba móc zamknąć.” Czyżby rzeczywiście nie mógł? Przecież paragraf by się znalazł! Było to jednak w roku 1962, dziesięć lat wcześniej rozmowa byłaby inna. Wyszedłem z „urzędu” mokry jak mysz. Przez kilka dni byłem mało przytomny. A jednak dano mi spokój. Towarzysz Rabski, czy jak się tam naprawdę nazywał, mijał mnie teraz obojętnie, już się nie przypatrywał. Nie znaliśmy się. Tak minęły prawie cztery lata.

Na wiosnę roku 1966, kiedy Kościół w Polsce obchodził tysiąclecie chrztu, podszedł do mnie na ulicy, akurat mijałem gmach „komitetu wojewódzkiego”, gdzie teraz „Uniwersytet Medyczny”, młody człowiek o niepozornym wyglądzie. Zapytał, czy pan magister taki a taki. Potwierdziłem. On na to, że jest ze Służby Bezpieczeństwa, że nazywa się Jeleń. Poprosił o rozmowę, jutro i to do... kawiarni. Wtedy już nie trząsałem portkami. Bać się nie miałem czego i byłem lepiej przygotowany jak za pierwszym razem. Tyle że było mi przykro: tu obchody tysiąclecia chrztu, a mnie znów chcą kusić! Tego popołudnia byłem nawet na okolicznościowym nabożeństwie z bardzo patriotycznym kazaniem.

Nazajutrz, bez wielkiej emocji, poszedłem do kawiarni na spotkanie z porucznikiem Jeleniem. Błąd! Kiedy mnie zaczepił i prosił o rozmowę, trzeba było powiedzieć, że jego kolega już ze mną rozmawiał, że zdania nie zmienilem. Strata czasu, panie... Mądry Polak po szkodzie! Szkody zresztą nie było.

Czekał przy stoliku. Pokazał legitymację. Zamówił wino. Umoczyłem usta, a potem zapłaciłem, by nie wyglądało, że cokolwiek „im” zawdzięczam. Powiedziałem, że rozmawiał już ze mną kiedyś jego kolega. Oczywiście, wiedział o tym: „Z panem rozmawiał wtedy pracownik b a r d z o doświadczony”. On nie był doświadczony.

Tak więc obaj traciliśmy tylko czas. Potem miałem już spokój z ich strony.

Raz jeszcze tylko... Zresztą wspomnienie to łączy się – jak pisałem wyżej – z porucznikiem Mazurkiem. Na wiosnę roku 1980 starałem się o paszport, tym razem na sześciotygodniowy, urlopowy wyjazd do Paryża. Nigdy dotąd ani też potem nie odmówiono mi paszportu. Ale wtedy znów poproszono mnie do telefonu.

Przy aparacie był ktoś z SB. Zaprosił, ale jakoś tak niewyraźnie. Dawał mi do zrozumienia, że ma to związek z moimi zainteresowaniami. Z „bronią i barwą” lub czymś takim. Rozmowę zaczął od... pogody. Przerwałem niezbyt grzecznie: „Czy zaprosił mnie pan, żeby mówić o pogodzie?” Wtedy zaczął kluczyć. Wreszcie powiedział, że wie o moim zamiarze wyjazdu i że po powrocie mogę być zaproszony na rozmowę. I tyle. Wychodząc spotkałem na korytarzu porucznika Mazurka. Przypadek? Licho wie. W każdym razie na jego pytanie, co tu robisz, opisałem dokładnie tę dziwną rozmowę, nie szczędząc komentarza.

Wyjechałem. Wróciłem. Rozmowy nie było. Czyżby odwołał ją porucznik Mazurek? A może raczej gdańscy stoczniowcy, jako że był to koniec sierpnia roku 1980. Służby miały ważniejszą robotę.

Myślę sobie teraz, że miałem szczęście. Nigdy bowiem po powrocie z zagranicy nie żądano ode mnie „sprawozdań”. Tylko za pierwszym razem, gdy oddawałem paszport wróciwszy z Londynu w roku 1978, funkcjonariusz zapytał o wrażenia. Odpowiedziałem zdawkowo. A przecież wtedy, w Londynie, spotykałem się z wieloma ważnymi postaciami z tamtejszej Polonii, z pułkownikami, generałami. Bywałem w emigracyjnych instytucjach, jak choćby w Instytucie imienia Generała Sikorskiego. Czyżby o tym nie wiedzieli?

Raz jeden nie dano mi paszportu. W roku 1983, po powrocie z Belgii, gdzie przebywałem na trzymiesięcznym stypendium, chciałem już po kilku tygodniach wyjechać do Włoch, na pielgrzymkę duszpasterstwa środowisk twórczych. Nie pozwolono. Powiedziano

mi jednak, że nie jest to odmowa wydania paszportu. Dziwne: nie dano, ale nie odmówiono? Coś tu z logiką nie bardzo...

Ktoś doświadczony wyjaśnił mi wtedy, w czym rzecz: Oni po prostu nie dostali jeszcze raportów agenturalnych na mój temat. Ciekawe, od kogo? Mieszkałem w uniwersyteckim miasteczku Louvain-La-Neuve, wyludnionym na wakacje. Jeździłem sporo po Belgii, zwiedzałem, oglądałem. Kontaktowałem się z grupką stypendystów Polaków. Byli to przeważnie księża. Czy wśród dwu-trzech osób świeckich mógł tam być informator? Kto to może wiedzieć.

I jeszcze jedna strona mojej „autolustracji”. Sąsiedzi. No, właśnie. Przed trzydziestoma kilkoma laty zmieniłem mieszkanie na nieco większe od poprzedniego. Dom czteropiętrowy. Mam na „klatce” dziewięciu sąsiadów. I to jakich! Naprzeciw reżymowy funkcjonariusz w cywilu. Nie znam stopnia ani funkcji. Dość na tym, że „nasz człowiek”. Przed stanem wojennym odszedł „ze służby”. Już tu nie mieszka.

Na trzecim piętrze mundurowy. Kapitan ZOMO. Z zawodu szofer. W stanie wojennym ciężko pracował. Kiedy przyjeżdżał do domu na krótki odpoczynek, żona sprowadzała go ze schodów, żeby kogoś przypadkiem nie pobił w narkotycznym transie. Było, przeszło. W roku 1990 chwalił się, że zweryfikowano go jako nadkomisarza. Zaraz jednak przeszedł w stan zasłużonego odpoczynku. Pewnie z emeryturą znacznie wyższą od mojej. Takie to są skutki „grubej kreski”.

Na czwartym piętrze mieszkał cywil. W stopniu majora. Szycha w SB. W stanie wojennym zmarł na zawał serca. Dowiedziałem się potem – od tego z przeciwka – że towarzysz major miał w naszym domu specjalne zadanie: pilnował mnie. Na czym to polegało? Nie mam pojęcia.

Został jeszcze parter. Mieszkał tam hydraulik. W jaruzelskim grudniu wychodzę sobie kiedyś wieczorem na spacer z psem